

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU,

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

38

Aż Orlikowskiemu, który do nielada był zaprawiony desperacyi, w głowie się zakręciło. Toć już, już czarne pasma grają żółtymi kołnierzami, już widać grzebień bagnetów — a bateria rwie, pędzi, jakby swem cielskiem do tratowania szarżowała.

Pałasz Bema łysnął w powietrzu. Galopujący przy generale trębacz — zadał przeciągle... i zwałił się z konia. Bateria skrzyła dzwonami, szarpnęła przodkami. Sześć gardzieli wygarnęło z rykoszetu do piechoty, na odległość dwóch pistoletowych strzałów.

Maszerujący batalion sybirskiego pułku skotłował się, zmienił front i rzucił na baterię — lecz wtóra salwa mocniej go skrwawiła, trzecia wyżarła krwawą, rozwartą ranę.

Szałone, niepojęte, uwłaczające strategicznym rachubom wysunięcie się Bema — wywołało popłoch, zagroziło dopływ piechoty, szturmującej ostróg, a co gorsze dla Pahlana i Kreutza, umożliwiło batalionowi polskiemu pomnożenie załogi.

Jakoż ostróg Sowińskiego mocniej się ozwał. Mrowie, zawieszono na jego zboczach, topniało, nikło.

Feldmarszałek stracił rezon, lecz naczelnik sztabu, Toll, czuwał.

Pięćdziesiąt armat zwróciło ogień przeciwko Bemowi. Trzy tysiące kawalerii Chłkowa poszło na odcięcie ostrogu od rezerw z Warszawy. Szesnaście tysięcy gwardyi, świeżego, stalowej mocy żołnierza, maszerowało podwójnym krokiem.

Bateria Bema pod gradem piekielnej kanonady zwijała się, skręcała jak wąż i jeszcze zionęła, jeszcze na harce szła, jeszcze zdawała się uragać wojskowej sztuce.

Bem podczas dwu adjutantów pchnął z wezwaniem, aby cała rezerwowa artyleria wystąpiła, by Sołtyk ze swoimi armatami wystąpił z szaniców, by Bogusławski uderzył całą dywizją...

Lecz za szanicami Warszawy w sztabie głównym lepsze miano bitwy ogarnięcie, tam uchodzący z pod Woli major Dobrogojski mówił już o wycięciu w pień załogi ostroga, tam nie przypuszczano, że Sowiński z karabinem w ręku trwa jeszcze na ostatnim bastyonie — tam nakoniec wiedziano również o zdobyciu przez nieprzyjaciela dwóch fortyfikacji pod Rakowcem, tam nie ufano, sromano się hazardu.

Bem trzymał się jeszcze, jeszcze nie myślał schodzić z pola. Zdemontowano mu jeden granatnik, ubito pięciu koni, dwunastu kanonierów pławiło się we krwi — nie ustępował.

Aż półkole armat nieprzyjacielskich jęło się zacieśniać, skupiać.

Bateria cofnęła się i zasunęła za ostróg. I tu znów hekatombę zbierała i tu znów żniwo śmiertelne świeciła.

Bem pieszo trwał przy narożnym dziale, którem dowodził profos Dziurbacki. Dowodził a raczej nstawiał, rychtował i podpalał bez komendy, bez nawoływań, bo zdławione krztanie żołnierzy i oficerów oddawna przestały kusić się o zagłuszenie piekielnego huków, bo uszy nie chwytaly, nie rozróżniały innego dźwięku nad łomot działowy.

W pobliżu dymił bastyon ostrogu.

Bem podniósł do oka lunetę. Z lewej pędziła bateria konna. Bem chciał ją wskazać Dziurbackiemu, lecz ten i bez lunety ją dostrzegł, szarpnął silnią i wypalił.

Bem aż się rozśmiał. Jedno dzwono nadjeżdżającej baterii zaryło ziemię.

Już to wogóle licha jakieś zagrało w starym wachmistrzu tego dnia. Sprawiał się niby najtęższy drab dwudziestolatek. Okrakiem do silni przywarł i ani jednego strzału nie dał na marne. A kiedy mu z początku Orlikowski ogniomistrza dawał do wy-ręki, to nań mało z pięściami nie poszedł.

Bateria konna z lewej dała salwę i obsypała piachem Dziurbackiego. Profos skinął na żołnierzy — szarpnął armatą za koła i ku baterii ją zwrócił.

Bem znów podniósł lunetę. Dymy nad bastyonem rozwiewały się, rozsnuwały...

Generał wpół lunetę — gdy wtem bastyon Sowińskiego wypalił w sam środek pozycyi Bema...

Wola była wzięta.

Bem z potarmoszoną swą baterią rzucił się jak kula do drugiej linii szaniców i pomknął do sztabu, do generalicyi, do Krukowieckiego, do zastępcy wodza.

Generalicya zczerniała od prochu i dymu Bema

powitała gradem wymówek. Bem był winien! On przyczyną klęski, on sprawił, że sztab główny Mokotowa tylko strzegł, że Umiński atak na Wolę miał za demonstrację, że Małachowski uległ Umińskiemu, że Dębiński nie zdołał dać odsieczy.

Bem nie tłumaczył się, nie osłaniał, jeno wyszeptał matowym, bezdźwięcznym głosem:

— Trzeba odebrać Wolę!

Hm — odebrać!

Umiński podtrzymał gorąco Bema. Prądyński się zgodził. Rozkaz zapadł.

I w godzinę niespełna Bem na czele dwóch baterii wysunął się zboczami fortu ośmdziesiątego trzeciego i zaczął prażyć piechotę. Bogusławski z dwoma batalionami czwartaków i zbieraniną ósmego i dziewiątego pułku ruszył na bagnety. Z prawej pomykali krakusi, kryjąc zbliżanie się czterdziestu armat pod Chorzewskim.

Bitwa zawrzała wściekła, rozpaczliwa, zjadła. Toll dwieście armat wycelował na obronę ostrogu. A przecież piechota Bogusławskiego parła, następowała.

Aż dwa pułki karabinierów rzuciły się z furą na czwartaków.

Czwartacy zachwiali się, jeli ugiąć się, cofać, mieszać z karabinierami. Charzewski stracił cel. Działa szaniców polskich umilkły, aby mierząc w nieprzyjaciela, własnych nie dziesiątkować pułków. Artyleria Tolla nie ważyła się przykładać lontów.

Piechota brała się za bary. Przewaga już była widoczna. Gdy naraz Bem porwał się, jak lew na obronę swych szczytów, pod karabinierami odprzodkował i zaczął piekielną kanonadę. I miotł kartaczami kolumnę piechoty i darł ją na strzępy i miażdżył.

Czwartacy z ósmakami mocniej natarli...

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło od pierwszego schronu ostrogu, już żołnierze jego potykali się o trupy, o zawały ciał ludzkich — gdy za karabinierami wyrosła nowa dywizja...

I znów czwartacy cofali się i znów parci zjadale jeli ginać, topnieć — i znów Bem wyrwał krwawą szluzę i znów zbocza ostrogu lśniły się rdzawymi plamami tuż... tuż do bagnetów polskich.

Aż nagle na czwartaków uderzyła fala grenadyerów Szachowskiego. Bogusławski nie dał się zachwiać.

Lecz za pierwszą falą szła druga, trzecia, piąta, siódma...

Chorzewski je plużył, szarpali bokami krakusi, Bem darł kawałami — daremnie.

Grenadyerzy płynęli jak potok wezbrany. Na okiełznanie go, na zatrzymanie, na odparcie zabrakło naraz i kartaczy i bagnetów i lanc...

Raz jeszcze czwartacy zdołali przeprzeć grenadyerów, raz jeszcze Chorzewski armaty wyszczerzył — i rzeka grenadyerów rozlała się i zagarnęłaby, pochłonięła polskie bataliony, gdyby nie mordercze salwy osłaniającego odwrót Bema.

O godzinie piątej popołudniu armaty umilkły. Nastąpił rozejm, rozejm dwóch wyczerpanych przeciwników, rozejm bez parlamentarzysty, bez warunków, bez podpisów.

Na zgaszenie lontów baterii feldmarszałka — baterie polskie odpowiedziały zgaszeniem lontów.

Zagrały trąbki długo, smętnie, zadudniły tarabany i cisza zaległa, cisza śmierci. Aż kiedy wietrzyk rozegnął włóczę się dymy, ku tej ciszy jęły wysuwać się wozy ambulansowe i krążyć i skrzypieć i przebieierać trupy.

Główna kwatera polska czyniła obrachunek, wynik jego był straszny.

Linia pierwsza reduct była przerwana. Na ostrogu Sowińskiego stały armaty Paskiewicza. Przystępu od strony Woli broniły już tylko wąte szanice i wstęga okopów. Trzy forty czołowe pod Rakowcem były w ręku Murawiewa. Na lewem skrzydle błysk pomyślniejszy. Korpusik Strandmanna wyparty za Służewiec. Licha przewaga! Ubytek w szeregach straszny. Trzy tysiące poległych, tyleż rannych i dogorywających i tysiąc niewolnika. Czwarta niemal część załogi stracona. A tu spodziewania, pokładane w woluntarskim animuszu gwardyi narodowej, rozwiane. Bo gwardya ledwie utrzymać mogła w karności wzburzone miasto, bo tłumom wylęknionego motłochu przybyły teraz gromady ojców, dzieci, żon, matek, gromady obłąkane bólem, gromady, szukające tych, co legli, co nie wrócili.

I w kwaterze głównej zaczęła się praca gorączkowa, rozpaczliwa, beznadziejna praca. Godziny nie było do stracenia, bo żadnej pewności, czyli Paskiewicz nie wznowi ataku, czyli nie zamyśla napaść znienacka, czyli na świt dopiero szturm drugi odkłada.

Przesuwano gorączkowo brygady, wzmacniano szanice i okopy, zbrojono wolskie przedmieście, przy-

legające dworki zamieniano w reduty, zwożono amunicję, opatrywano baterię.

Śród generalicyi i sztabów ucichły raptem strategiczne dociekania, olśniewające głębią wywody. Całe wojsko zapomniało nagle o sejmowych racyach, o ustroju nowego Rządu, o klubach, cywilach, godnych i niegodnych wodzach. Ład, jedność, sprawność i przytomność oficerów i żołnierzy była teraz tak wielka, tak trzeźwa, że budziła grozę, że przywodziła na myśl tych, co sposobią się do odejścia na wieki.

Inaczej było śród dygnitarzy narodowego Rządu, inaczej śród generalskich dostojników, którzy od początku wojny, od pierwszego dnia rewolucyi największe zwycięstwa za stołem sesyjnym święcili, inaczej śród posłów i statystów. Tam troszczono się nie tylko o życie, ale i o tryumf stronnictwa, pogrzebanie przeciwników, tam procesowano się jeszcze, jeszcze spierano o wyższość, o czystość swej bezbrzeżnej ku ojczyźnie miłości. Tam również wyglądano z niepokojem Danenberga, wyglądano go do późnej nocy. Napróżno. Wreszcie zniecierpliwiony prezes Rządu narodowego postanowił sam zagadnąć feldmarszałka o warunki.

Prądyński ruszył do forpoczt rosyjskich. Po jego powrocie, na rozmowę z Paskiewiczem wyjechał Krukowiecki. Dalej znów do Warszawy przybył Berg i znów Prądyński z Breańskim do głównej kwatery feldmarszałka podążył.

Pertraktacje wlokły się, rwały, wybuchały pogrozkami, nawiązywały ponownie — a w ostatku przed świtem ledwie utknęły na potrzebie uchwały sejmu.

Paskiewicz zgodził się czekać na tę uchwałę do godziny pierwszej w południe.

Lecz sejm był jak łódź rozkołysana, najsłabszej poddająca się fali.

Więc najpierw na hiobowy raport prezesa Rządu o niepodobieństwie obrony, o zagładzie grożącej miastu, uląkł się, ogłosił się za rozwiązany i Krukowieckiemu prawo do układów przyznał. A potem, kiedy Niemojowski przemówił, nabrał otuchy i Krukowieckiego pozbawił dygnitarstwa. Ale po przedłożeniach Prądyńskiego wrócił do zwątpienia, do lęku, do pomieszczenia.

Aż armaty zagrzmiąły na godzinę pierwszą... Krukowiecki wysłał parlamentarza z żądaniem przedłużenia zawieszenia broni, ile że sejm już kończy narady...

Paskiewicz odmówił. Sejm trwał dalej. Mówcy mieli jeszcze mnóstwo obelg, klątw, pustych frazesów do wyrzucenia, do powiedzenia...

Czterysta armat rosyjskich wybijało minuty, morze krwi lało się na szanicach, okopach i reductach żołnierze polscy ginęli setkami, walka rozpaczliwa, beznadziejna wrzała na przestrzeni od Wierzbna po Marymont — a tam, w izbach sejmowych, ojcowie narodu jeszcze nie mogli się zgodzić na jedno.

A tymczasem brak postanowienia, brak stanowczego słowa był wzrastającą wciąż dla wojska klęską — bo albo o daremne ofiary je przyprawiał, albo kazał mu płacić hekatombami za mitrę w przyjęciu układów — albo też skazywał na odosobnienie, nabronienie miasta wbrew jego woli i intencji...

Warszawa bowiem naraz wyrzekła się wszelkich o Saragossie wspomnień. Póki nieprzyjaciół zdala z wojskiem się zmagali, póki mundurem narodowej gwardyi starczyło imponować kumoszkom, póty im panowie obywatela, kupcykowie, kauzypierdy i ciury wielkowiejskiego warsztatu radzi byli w konfederatki się stroić a pałasikami dzwonić. Teraz atoli, kiedy kule armatnie już za okopy jęły padać, gdy kramom, kamienicom, betom, mieszczańskim kurnikom zagroziły pożary, rabunek, gdy już nie wrzaskiem ale czynem, własną miazgą należało przysiąg dowieść — teraz tym samym tłumom już nie odwagi, nie serca zabrakło, lecz godności.

I w mieszczychach zagrała nareszcie krew, ta neoficka, ta nikczemna, ta żywiona od wieków polskim chlebem, ta samolubna, ta kramarska, ta, która zabagniała sarmackie grody — i gwardya narodowa wyprawiła deputację do sejmu w osobach imć panów muncypalności prezydentów, juści z żądaniem nie wystawiania Warszawy na zniszczenie...

A ponieważ sejm ciągle wahał się — więc dla tymczasowego ułagodzenia wezbranych sentymentów patriotycznych stolicy, trzeba było z szaniców, z okopów zabrać pułk piechoty i zamienić go na milicję — trzeba było jeszcze osłabić tych, co nadludzkim jeno wysiłkiem stawili czoła nieprzyjacielowi.

Bem dnia tego czuwał od świtu, mając sześćdziesiąt armat na pozycyi między Wolą i krakowskim traktem. Na pierwsze ozwanie się armat Paskiewicza runął piekielnym ogniem i podzieliwszy